Ner 12. Kraków 15 czerwca 1869. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa w księgarni J. Czecha hotel drezdeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Ogłoszenie.

Od pierwszego Lipca r. b. „Kalina" wychodzić będzie co **tydzień** objętości arkusza, tego samego formatu z **illustracjami**.

Dokładając wszelkiego starania aby pismo nasze podnieść w kierunku literackim i artystycznym, nieprzepomnieliśmy o ulepszeniu mód i wzorów oraz krojów, które odtąd stale **obie strony wielkiego arkusza** zajmować będą. — Nadto, podawać będziemy drzeworyty wykonywane w najlepszych pracowniach warszawskich pp. *Styffiego, Münheimera* i *Ungra.* — Zwracając przytem uwagę, że od 10 Numeru **„Kaliny"** gatunek papieru jest daleko lepszy.

Mając zaś zapewnione wspólpracownictwo kilku znanych zaszczytnie w piśmiennictwie naszém Literatów, mamy prawo spodziewać się że znajdziemy poparcie u Szanownéj Publiczności — i jak dotąd nadal cieszyć się będziemy łaskawém Jéj zaufaniem. Gdyż tylko przy wzrastającéj liczbie prenumeratorów mogą być podejmowane starania około podniesienia wartości pisma.

Wprowadzając tak wielkie i kosztowne reformy w naszém piśmie, **nie podnosimy ceny prenumeracyjnéj.**

Prenumerata w miejscu:

rocznie bez mód **6** złr. — półrocznie **3** złr. — ćwierćrocznie **1** złr. **50** c. w. a.

Z przesyłką pocztową:

rocznie bez mód **7** złr. **20** c. — półrocznie **3** złr. **60** c. — ćwierćrocznie **1** złr. **80** c. w. a.

Prenumerata zagraniczna:

rocznie bez mód **8** złr. **30** centów walutą austr.

Mody, kroje i wzory:

rocznie **3** złr. **70** c. — półrocznie **1** złr. **90** c. — ćwierćrocznie **1** złr. walutą austr.

Ekspedycja dla miasta **Krakowa** znajduje się wyłącznie w księgarni Czecha hotel Drezdeński, rynek.— We **Lwowie** w księgarni Sayfart i Czajkowski lub w księgarni F. H. Rychtera plac Marjacki, hotel Langa.

Oprócz tego prenumeratę zamiejscową przyjmują wszystkie ajencje „Czasu."

W **Poznaniu** ajencję naszą ma księgarnia Leitgebera.

Upraszamy o **wczesne nadsełanie prenumeraty.** Listy adresować należy do **„Admnistracji Kaliny w Krakowie"** franco.

Alfons Lamartine

SZKIC BIOGRAFICZNO-LITERACKI

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy).

Zamierzając teraz wielki utworzyć epos, oglosił ułamek dzieła pod napisem: „*Jocelyn*, *journal trouvé chez un curé de village.*“ Poemat ten dość obszerny, bo w 9 pieśniach, raczéj epokach, jak je zwie autor, ma być według jego planu tylko epizodem wielkiego dzieła, w którém indywidualność każda będzie osobną pieśnią, ogółem cały rodzaj ludzki, a poezya stanie się śpiewem świętym przez prawdę, jak była niegdyś świętą przez mytologję; przez rozum zejdzie w religijność, a przez filozofję w powszechność (popularność). Epopeja ta, według autora nie ma być ani narodowa ni bohaterska, ale więcéj niż to wszystko, bo ma obejmować całą ludzkość. Jaśniéj z téj myśli wywiązuje się Lamartine w dalszym ciągu przemowy do owego epizodu. My w niéj widzimy coraz obszerniejszy zakres, jaki swemu talentowi i rozwijaniu głównéj a pierwotnéj zasady chrystjanizmu w pojęciu swojém nadaje. Już teraz *Dumania* i *Harmonje* jego, jako wstęp, objaśniły nas z polem, na którém ową wiedzę szańcuje. Przeczuwaliśmy, że daléj wciąż tylko dumać i harmonjować w małych obrębach, byłoby naśladować się bez postępu, choć może nie bez przyjemności. Krok jeden z *Dumań* do *Harmonji* wymagał w następstwie jeszcze sporszego kroku z *Harmonji* na jakiś śpiew wielki, ciągły; bo genjalne branie rzeczy tak powszechnych i rozrzuconych nie dało się w jednéj zamknąć formie, ani utrzymać rozwijaniem niepostępowém; z szczegółków, odgłosów, Dumań, wzrosły massy głosów: Harmonje; — z massy głosów winna była wyniknąć jednostka głosu huczna, ogólna, owa alfa i omega piersi wieszcza, którą z początku zbierał po głosce, po sylabie, potem po słowie, po wierszu, a którą nakoniec przychodzi mu wylać— całą wzbieraną pieśnią.

W takim zamiarze i jako postęp owego poematu daje nam poeta *Jocelyna* z najprostszą, jak na tak długą pieśń, intrygą, Jocelyna potulnego plebana wiejskiego w Alpach, któremu obok bijące światowe zdarzenia o tyle wiadome, o ile wpływają na jego los, któremu obrębem całym jest kraina myśli nierozciągnięta nad zawód, poczęta poświęceniem się dla siostry, rozwinięta seminaryczném wychowaniem, wypróbowana jak w ogniu, w grocie orłów najczulszém w świecie uczuciem: miłością, i doprowadzona do ostatka bolem i zamiłowaniem w bolu.— Idylliczne obrazy z życia plebanów były już ulubioną treścią poetów z czasów cesarstwa, mimo że we Francji właśnie życie proboszcza wiejskiego żadnego znacznego nie dawało źródła. Ale religja wystąpiła na scenę i malowano swych plebanów prawie tak samo, jak Florjan swych pasterzy: w cichym spokoju, z dala od wiru światowego, skromnych a jednak pełnych najwznioślejszych obrazów. Tak już ksiądz Delille przedstawił swój stan duchowny. Lamartine zaś wpadł na tę szczęśliwą myśl, aby rozwinąć wewnętrzne konflikty tego zawodu w epoce, kiedy bezpośrednio krępująca siła władzy i powagi złamaną została. Przedstawia on wewnętrzną walkę duszy i pasowanie się między skłonnością a obowiązkiem, między zmysłową siłą a zaparciem się, wprawdzie nie głęboko, ale gorąco i z wymową płynącą z serca. Przedewszystkiem umiał on znaleźć w ustroju natury odpowiednie przeciwieństwo dla tego wewnętrznego konfliktu serca. Wiejskie krajobrazy posiadają szacującą świeżość i przystają melodyjnie do głównego tonu idei. Niestety i tutaj owa pogarda sztuki mści się przesadzonym rozmiarem szkiców, niepewnym postępem akcji i artystycznym materjalizmem obrazów. Niedokładności stylu, które nieraz w absurda przechodzą, zdradzają improwizację, ale mimo wszelkich błędów, czuć tu jednak poetę. Pierwowzorem do jego proboszcza miał być stary jego przyjaciel opat Dumont; wszelako realizm charakterystyki bardzo jest szczupły, i Jocelyn należy do tych fantastycznych obrazów, które w Roué'm swego ojca uznają.

Prolog i epilog tego poematu są wklejone, jak sam autor powiada, aby tylko czytelnik mógł pojąć, zkąd się wziął rękopis listów Jocelyna, które stanowią poemat, a w którym ten zaciszny kapłan skreślił życia swego dzieje, w epoki je podzieliwszy.

W epoce I-széj maluje kapłan swą rodzinną wioskę, swe wspomnienia — przy matce i siostrze w grupach tancernych, swawolących zaplątany, wzdychający i przeczuwający swój kielich, a przecież tak niewinny, że woła: „Co to musi być miłość sama, kiedy marzenie o niéj jest tak słodkie!“ — Zdejmuje go ciekawość wybadania smutku swéj siostry, i podsłuchując jéj rozmowę z matką, dowiaduje się, że kocha i jest kochaną, a ojciec lubego, bez dostatniego posagu nie przyjmie jéj za synowę. „Ty się musisz z swym bratem dzielić, mówi matka, szczupłém polem mojém, więc lepiéj zapomnij córko o lubym i ucz się cierpieć.“ „Zapomnieć matko, trudniéj, ale umrzeć!“ a brat jéj podsłuchujący, pomyślał „ale poświęcić się“ i matce nazajutrz spowiada się o swém powołaniu ku ołtarzowi. Siedm dni matka płakała, jak córa Jeftego, on uszczęśliwia siostrę, i nie oglądając się na siebie idzie w ślad zakonu niepowołany kapłan. — W epoce II-giéj widzimy sześcio-letnie seminaryczne jego życie, w którém już odgłos świata go dochodzi, ale w tym głosie burza, bo to rok 1793; piorun ten miotający wszystkiém, rozmiata także jego matkę i siostrę za granicę Francji, on sam, sierota, niepoświęcony w śluby zakonne, jak tylko sercem, które mu tém bardziéj każe trzymać się ołtarza, im bardziéj burza dmie w zagasze-

nie świętych ogni, ratowany nieznaną ręką, chroni się przed wściekłością tłumów w jaskinie orłów, na szczycie gór alpejskich w Dauphine. Ta chwila umysłowego życia Jocelyna buja całą szczytnością natury. — W epoce III-éj zachodzi ów przypadek, który potém wpływa na całe życie Jocelyna, przypadek dający mu w tych górach młodego towarzysza za współgościa, za przyjaciela, za brata; przypadek, jak na owe czasy prześladowań, dość naturalny. Jestto jeden z popisowych do wojska, który z ojcem swym ucieka przed służbą w góry; ojciec ginie od wystrzału goniących za nimi żołnierzy, syn ocalony zostaje towarzyszem Jocelyna; z nim tęskniącéj duszy Jocelyna raźniéj i sporzéj czas dumań ucieka. — Epoka IV-ta poświęcona rozwijaniu się ich uczuć dla siebie, coraz słodszych, coraz tkliwszych, aż do owéj katastrofy, kiedy Jocelyn w towarzyszu odkrywa kobietę — pełno tam bujań po naturze, śpiewań chorowych z przyjacielem, w którego piosnkach widoczny odcień kobiecych myśli przygotowuje nas do tego odkrycia. — Epoka V-ta jest zakończeniem, przerwą raczéj okropną życia miłosnego; bo chwila, w któréj go wywołuje pasterz alpejski, aby niósł słowo Boże do więzienia jednego ze swych braci, — bo chwila ta, gdy on w ciemném więzieniu w tym bracie poznaje swego biskupa, i starzec dla ostatniéj swéj duchownéj pomocy, kładzie kapłańskie słowo na leżącą mu u nóg głowę Jocelyna, wypierającego się téj godności całém kochającém sercem, — bo owa msza pierwsza w rogu więzienia, na któréj chleb tak skwapliwie czeka dusza starca-biskupa, — bo wreszcie ten młody ofiarnik, dopiero sam dla potrzeby bliźniego zaofiarowany na oltarzu wyrzeczenia się światowych uczuć, jest tak genialnym rysem i prostą okropnością, że naturalnym wypadkiem musi być zerwanie wszystkiego, co było dotąd jeszcze z jakąś słodyczą, z jakąś nadzieją w sercu Jocelyna złączone.

Dalsze pieśni aż do ostatniéj, już go malują wiejskim plebanem, samego, chcącego się wdrożyć w potulne powołanie, z którego wyskakuje wiecznie obręb jego uczuć, w którym pokochać się nie może; a wypadki szczególne, co go w świat jeszcze wołają, jak śmierć matki, któréj ostatnią daje pociechę, jak owo zwiedzenie Paryża, gdzie w kwestującéj i rozpustnéj poznaje swoją młodą niegdyś kochankę, jak wreszcie ostateczna jéj spowiedź przed nim kapłanem o nim, kochanku: — są to tła do ubarwienia ciągłych rozbolałych szamotań myśli, co mu się cieszyć każą, gdy czuje kołacącą do swego ciała śmierć, w postaci posłanki, kilkomiesięcznéj choroby.

Z téj treści przekonujemy się, że owa pieśń Lamartina niczem więcéj nie jest, jak Harmonią i Dumaniem, złączonemi w większy obręb.

Rewolucja lipcowa wszakże zakłóciła stanowisko Lamartina; chociaż zapomniał on był o swéj przeszłości, lecz nie mógł tak łatwo pozbyć się wspomnień o poezjach do Boualda, Chateaubrianda i t. d., w których się pokazał zapalonym zwolennikiem ich zasad (jak późniéj sam się przyznał, pism ich wcale nie czytał) również i wspomnienia o *Chant du sacre*, w którym nietylko Karolowi X i jego familji, ale i całemu Paryżowi tak wielkie palił kadzidła, iż go nawet burza rewolucji lipcowéj rozwiać nie zdołała. W poemacie „Strącony anioł“ uczcił on księżnę Berry; w odzie na urodziny księcia Bordeaux napisał on: Il est né l'enfant du miracle! héritier du sang d'un martyr, il est né d'un dernier soupir i t. d. Były to wszystko reminiscencje, które nawet poecie na przyszłość ręce wiązały. W opisie jego podróży na Wschód (1835) mówi: La révolution de Juillet qui m'a profondément affligé parceque j'aimais *de race* la vieille et vénerable famille des Bourbons, parce qu'ils avaient eu l'amour et le sang de mon père, de mon grand-père etc. cette révolution ne m'a cependant pas aigri, *parcequ'elle ne m'a pas étonné* (zupełnie jak Chateaubriand!). Il faut la regretter, mais il ne faut pas perdre le jour à la repasses inutilement; il faut agir et marcher. — Z nowym zwrotem stosunków starał on się długo daremnie zająć odpowiednią rolę. Najpierw oświadczył on się (w październiku 1830), jak wszyscy poeci, jak Wiktor Hugo, jak George Sand i t. d. za zniesieniem kary śmierci, późniéj w rozprawie *Politique rationelle* (wrzesień 1831) chciał wyjaśnić w ogóle zadanie nowszego czasu. Według jego przekonania cała literatura powinna pracować dla ludu i przejść w dziennikarstwo. Votre théorie sociale sera simple et infaillible: en prenant Dieu pour point de départ et pour but, le bien le plus général de l'hummanité pour objet, la liberté pour route, vous ne courrez aucun risque de vous égarer. Po tych ogólnych prawidłach, przechodzi do swego własnego stanowiska. Nous mêmes, royalistes d'esprit ou de coeur.... nous ne pourons que pleurer en silence. Lachons donc, tout en déplorant ce qu' il y a déplorable dans cette chaine de siècles, profiter en hommes de cette liberté que la catastrophe nous a faite! Ne nous conduisous pas par le sentiment qui n'a point de place dans le fait actuel, mais saisissons et agissons! ne soyons pas les hommes d'une opinion, d'un parti, d'une famille, mais les hommes du présent et de l'avenir! Właściwi legitymiści fałszywie pojmują swoje zadanie. Leur stérile fidélité à un souvenir, à un nom, à un devoir que le fait aurait rendus fictifs, deviendrait une infidélité plus réelle et plus coupable au peuple, à l'humanité! L'honneur, sentiment tout personnel, devrait ceder au patriotisme, sentiment social. — Idee te są dobre, ale nie bardzo wyraźne; z pozytywnych projektów czytamy tylko o wolności prasowéj, odłączeniu kościoła od państwa i utrzymanie centralizacji. Wszystko to nie nadawało jeszcze poecie żadnéj folji historycznéj; szukał on jéj, jak jego poprzednik Chateaubriand, w swéj *Pielgrzymce na Wschód*. W maju 1831

wsiadł z swą żoną i córką Julją w Marsylji na okręt i odpłynął na Wschód.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAPÓŹNO!

z pieśni ukraińskich Kazimierza Glińskiego.

Któż tam jak wicher na koniu bieży?
Z pod kopyt pioruny ciska?
W mroku i cieniach świat cały leży,
Li miesiąc czasem zabłyska.

Na sennym stepie omdlało kwiecie,
Wiatr mrozem tchnie dokoła...
Któż tam jak burza w stepach się miecie
I budzi kwiaty i zioła?

Czyż się upiory z mogił podniosły,
Co z mroków nocy wychodzą?
I prą przez stepy jak śmierci posły
I pieśni grozy zawodzą?

Bo aż się echo o step roztrąca,
Jak gromy albo ryk zwierza!
Kurzawa rośnie... o chmury trąca
I aż o gwiazdy uderza.

Czy szatan błędne zatlił ogniki
I w polu rozwiał szerokiem? —
O! stój szalony! po te płomyki
Nie sięgnąć ręką ni okiem!

Kozak się mary nie lęka wrogiéj,
Bo krzyż na piersiach mu świeci!
A pod kozakiem koń wiatronogi,
Rży, bryzga pianą — i leci!

Pośpiesza kozak — a gwiazdy świecą
Rozwiane w górze szeroko.
I smętne dumki w ślad za nim lecą,
Naprzód myśl bieży i oko!

Faluje z wichrem grzywa rozwiana,
Jak orzeł w chmurach koń pływa...
Chyżéj od orła gna myśl znękana,
I żwawiéj serce się zrywa!

Koń wierny w locie wichry przerzyna,
Aż serce rośnie kozacze!
I rwie się kozak, kędy dziewczyna
Czeka na niego i płacze!

Spojrzał: gdzie ściany chatki widnieją...
Wkrótce ich w cerkiew powiodą...
Cieszył się kozak, mamił nadzieją,
Jak rybka cieszy się wodą.

Słuchaj kozacze: ciężkie, brzemienne
Jęki się dzwonów rozwiały...
Z oczu mołojca cięższe, kamienne
Łzy, na pierś twardą spadały!

Miesiąc z chmur czarnych pojrzał grobowo,
Coś ludzie roją się tłumno!
Dziewczęta trumnę niosą dębową...
O!... powiedz! czyjaś ty trumno?

Za trumną matka idzie wybladła,
Zawodzi jękiem i płacze!
Na trumnę grudka ziemi upadła...
— Zapóźno!... W drogę kozacze!

Władysław Bełza.

FAKTOR.

Ramotka z życia prowincjonalnego.

przez **Wł. Ładę.**

— Tu, tu postaw niezgrabiaszu — wołał pan Deodat Cezarkowski na lokaja, który z pomocą chłopca kredensowego wnosił duży stół do salonu. — Tak... dobrze... a teraz idź do pani i poproś o tę starą ceratę... wiesz? Trzeba go czemś przykryć, bo strasznie odrapany i brudny... Już to wy hultaje nic uszanować nie umiecie... niema roku jak dałem Abramkowi pięć szóstek za naprawę.

Stół, nad którym tak ubolewał pan Deodat, nie był istotnie w harmonii z resztą mebli salonu; ale i zwykłe przeznaczenie jego w rażącéj było sprzeczności ze szczytnym celem, do którego teraz powołanym został. Wczoraj jeszcze czyścił na nim Paweł suknie pańskie i naftę do lamp nalewał; a dziś...

Dziś, z przedpokoju na godność stołu prezydjalnego wyniesiony, miał dźwigać na swych barkach starą ceratę, właśnie przez Pawła przyniesioną, kałamarz, arkusz papieru konceptowego, a co najważniejsza, płód gieniuszu pana Deodata, w postaci takiegoż arkusza, drobném pismem zapełnionego.

Właśnie pan Deodat wyciągnął płód swego gieniuszu z kieszeni, zapewne w celu odczytania go raz jeszcze, gdy weszła pani Deodatowa z Koronieckich Cezarkowska.

— A to co? — zapytała, spoglądając na posadzkę.

— Co takiego? — odparł pan Deodat, spoglądając w to samo miejsce, na którém oczy jego żony zatrzymały się.

— Któż kazał dywan spodem do góry przełożyć?

— To ja, duszko; dywan nowy, ledwie sześć lat jak sprawiony... może się zniszczyć... porachuj tylko: na kanapie trzy panie, to trzy; na fotelach cztery, to siedm; posiedzenie ze dwie godzin potrwa... Ile to go się namiętoszą, nadepczą!...

— Ale tak zostać nie może. Wygląda, jakbyśmy zamiatać mieli...

— Mieli, mieli!... — zawołał pan Deodat oglądając się. — Czemu nie powiesz: kazali!... Ale wiesz co? można dywan wynieść. To będzie jeszcze lepiéj.

— A! tak to i owszem. Hej, Paweł!

Gdy Paweł, pomimo kilkokrotnego wołania nie pojawiał się, podniósł pan Deodat jeden, potem drugi bok kanapy, a pani Zofia Deodatowa z Koronieckich Cezarkowska własnemi rączkami wysunęła ostrożnie dywan, potem z pomocą męża złożyła go wierzchem do środka i wyniosła do sypialnego pokoju. Od dwóch lat nie zapuszczana posadzka błyszczała jasno-złocistą barwą, a od niéj, jak olbrzymia plama, rażąco odbijał ciemno-orzechowy kwadrat z pod dywana. Zwróciła pani Zofia uwagę męża na tę niefroterowaną okoliczność.

— Trudno wszystkiemu dogodzić — odparł pan Deodat. — Zresztą, czyż koniecznie trzeba patrzeć na podłogę? Zobaczysz — dodał, uderzając tryumfalnie po dobytym z kieszeni arkuszu, — gdy im projekt mój czytać zacznę, zapomną o Bożym świecie, a cóż dopiero o posadzce!

— Prawda, że pomysł doskonały...

— Gienialny duszko, gienialny! tylko w mojéj głowie powstać mogła myśl założenia towarzystwa oszczędnych kobiet.

— Ale czy zechcą się podpisać?

— Ba! a od czego wymowa?... Jak im powiem, że marnotrawstwo, podatki... patrjotyzm... nieurodzaje... zniesienie propinacji... o! jestem pewien przyjęcia. Ale— tu westchnął małżonek—kto mi wróci moje ekspensa?...

— Jakie ekspensa?

— Poczekaj duszko, zaraz ci to porachuję. Najprzód, sam pomysł wart z piątkę; no, mogę dać go za darmo, bo to chwila natchnienia. Idźmy daléj: dwa tygodnie układałem plan; rachując dzień roboczy po trzy szóstki...

— Po dwie — wtrąciła żona.

— Po dwie? tyle chłop bierze; moja praca warta przecież więcéj. A zatem: czternaście dni po trzy szóstki, to czyni... czternaście razy trzy, to czyni... 42 szóstek. Daléj: tydzień pisania, to dni siedm, po trzy szóstki, to czyni... siedm razy trzy... 21 szóstek... jeden dzień przepisywałem, to znowu trzy szóstki, a teraz: dwa arkusze papieru, a jedenaście listów zapraszających, dwa stalowe pióra, atrament, a dzisiejsza herbata... a procent... porachuj to wszystko - będzie do dwunastu reńskich!

— Szkoda, że niéma pana Feliksa, onby to nam zaraz porachował.

— Tak, ale tymczasem tracę dwanaście reńskich! To piechotą nie chodzi.

— Zamieścisz to w rubryce strat. Cóż robić? trzeba się czasem poświęcać dla ogółu...

— Jedno mnie uspokaja — ciągnął daléj pan Deodat. - W razie przyjęcia ustawy, a przyjętą będzie niezawodnie, możemy zaprowadzić znakomite oszczędności. Tym sposobem odbijemy te dwanaście reńskich. Tylko proszę cię Zosiu, herbata wedle ustawy; żadnych ciastek, żadnych kompotów... inaczéj, odciągnę od miesięcznéj pensji.

— Będzie dobrze, zobaczysz...

Dalszą rozmowę przerwał turkot powozu. Pan Deodat wybiegł na ganek.

— Pani Gruszkiewiczowa dobrodziejka! — zawołał, wysadzając z powozu czterdziestoletnią otyłą jejmość. — Czwarta godzina... punktualność... to rozumiem!

— Umieram z ciekawości — mówiła pani Gruszkiewiczowa, witając się z gospodynią domu. — Zaproszenie na ważną naradę...

Znów powóz zaturkotał, za nim drugi i trzeci. Ciekawość była najdzielniejszym bodźcem akuratności, uwielbianéj przez pana Deodata. W pustym niedawno salonie, zrobiło się w przeciągu kwadransa gwarno. Siedm pań nie pierwszéj młodości zajętych pobożnemi plotkami — to nie żarty! Pan Deodat siadał, wstawał, zaglądał do okna; widocznie towarzystwo nie było w komplecie. Nareszcie zwracając się do jednéj z pań, zapytał:

— A pani Kozłowicz?

— Tecia słaba — odrzekła dama trochę zmięszana.

— Brak nam jeszcze pani Sarnickiéj — rzekła pani Deodatowa.

— Widziałam się z nią wczoraj — odezwała się pani Malicka, chuda jejmość z krogulczym nosem. — Zaciekawiona jak my wszystkie, obiecała, że niezawodnie przybędzie.

Na potwierdzenie słów pani Malickiéj, zaturkotał znów powóz i za chwilę weszła do salonu pani Sarnicka z ośmioletnią córeczką.

— Zawsze trzeba na nią czekać, — szepnęła pani Gruszkiewiczowa na ucho sąsiadce.

— I zawsze tego nieznośnego dzieciaka wozi z sobą — odparła tamta.

— Jakże się kochana pani miewa? — zawołały obie, wstając i całując się *serdecznie* z przybyłą. — Jak się masz, Rózieczku? — dodała pani Gruszkiewiczowa, zwracając się do dziewczynki. — Cóż to za śliczne i miłe dziecko!

Po ukończonéj ceremonii powitania, Rózia usiadła w kąciku bawiąc się przywiezioną lalką. Pan Deodat zajął miejsce za prezydjalnym stołem, odchrząknął, i wśród

głębokiego milczenia napełnił powietrzem płuca, w celu wygłoszenia starannie wyuczonéj przemowy.

My tymczasem zróbmy przegląd obecnych.

Państwo Cezarkowscy, znani już nam trochę ze wstępnéj rozmowy, posiadają do ośmiukroć majątku i pomnażają go codziennie, dzięki cnocie oszczędności, która u pani Zofii dochodziła siódméj potęgi, a u pana Deodata rozwijała się w nieskończoność. Złośliwe języki twierdziły, że najulubieńszym przysmakiem i codziennym pokarmem małżonków, była lemieszka z kukurydzy zaprawna serwatką, która to arcywyborna potrawa zwie się we wschodniéj Galicji: *pędygą*. O panu Deodacie opowiadano, że spotkawszy na targu owocowym w Wiedniu pana Kozłowicza, dobył z kieszeni od kamizelki kilkadziesiąt miedziaków, i dumnie pokazując je, rzekł:

— To oszczędziłem dzisiaj. Miałem wielki apetyt na morele, ale za drogie; powąchałem jedną, a trzydzieści centów przełożyłem z woreczka do kieszeni. Winogrona prześliczne! zjadłem jedno ziarnko na próbę, a pięćdziesiąt centów przełożyłem znów do kieszeni. Widzisz pan, co to rozum! zaspokoiłem apetyt i zyskałem blisko r e n i a!...

Reszta dam zgromadzonych, z wyjątkiem pani Sarnickiej, hołdowała także, w większym lub mniejszym rozmiarze, błogosławionéj cnocie skąpstwa. Pani Gruszkiewicz szczególniéj nie wiele brakowało do zdystansowania pana Deodata. Wdowa od dziesięciu lat, sama zarządzała ogromnym majątkiem, i płakała!... Płakała, bo pomimo usilnych zabiegów nie mogła znaleźć drugiego męża, któryby ocenił jéj wdzięki i cnoty; płakała, bo majątek pozbawiony administracji męzkiéj, przynosił o 857 fl. 59 kr. mniéj dochodu, niż za życia nieboszczyka! To był jedyny powód, dla którego, jak Ryszard Szekspira, wołała codziennie: „Męża, męża! królestwo za męża!“ Usłużny pan Deodat... ale o tém potém.

Nie chcę was nużyć moje miłe czytelniczki, i dlatego pobieżnie tylko wymieniam panie: Toporowicz, Malicką, Mieścińską, Pendoros, Kostkiewicz i Drzewińską. Wszystkie są mniéj lub więcéj podobne do pani Zofii i pani Gruszkiewicz. Byłbym nawet pominął je milczeniem, gdyby nie ta ważna okoliczność, że jako założycielki stowarzyszenia oszczędnych kobiet, powinny, choć za pomocą téj krótkiéj wzmianki, przejść ku wiecznéj chwale do uszu następnych pokoleń.

Pani Sarnicka, lubo niedaleka sąsiadka, mało jednakże odwiedzała dom państwa Deodatów. Straciwszy męża i dwoje starszych dzieci, pielęgnowała troskliwie pozostałą jedynaczkę, nie chcąc, pomimo nalegań i swatów, wejść w powtórne związki. Pani Gruszkiewicz twierdziła, że czyni to w celu poniżenia innych biednych, opuszczonych istot, które nie tają się obłudnie z życzeniami serca...

Pani Kozłowicz zaś, jako nieobecnéj na posiedzeniu, nie mogę przedstawić wam, moje nadobne czytelniczki, pomimo najszczerszéj chęci. Obiecuję brak ten w następnym rozdziale uzupełnić, a teraz przystępuję do rzeczy.

Pan Deodat tedy odchrząknął, odetchnął głęboko i wśród powszechnéj ciszy odezwał się w te słowa:

— Szanowne sąsiadki! łaskawe moje panie i dobrodziejki! Pełne patrjotycznych uczuć serca wasze podzielą zapewne ze mną to przekonanie, że główną przyczyną upadku naszéj ojczyzny, był i jest — brak pieniędzy. Pomimo tak niezbitéj prawdy, znajdują się jeszcze między nami ludzie, którzy ten upadek do innych, tak zwanych moralnych przyczyn odnoszą. Moje panie! Ci, co tak przewrotne zasady głoszą, ci, co nie wstydzą się znieważać pamięci ojców naszych, co im, własne przypisują winy, to są wszystko hołysze; nie popełnię błędu, twierdząc, że żaden z nich w tabuli c. k. urzędu finansowego zapisanym nie jest. My zaś, moje panie, to co innego. My wiemy, że aby wrogów naszych pokonać, musimy przedewszystkiem starać się o dobrobyt-materjalny — o pieniądze. Patrjotyzm bez pieniędzy — to marzenie, to duch bez ciała.

Zadaniem więc naszém jest: skrzętne zbieranie majątku, a hasłem: Oszczędność. Tak, moje panie! oszczędność we wszystkiém i dla wszystkich, nawet dla samych siebie. Iluż to z nas ma dwa, a nawet trzy powozy, cztery konie cugowe... furmana! Na co nam tego? Równie dobrze można jeździć bryczką i broniakami, a Iwanko powozi jeszcze lepiéj, niż Michał lub Józef w liberji. Iluż z nas posiada złote zegarki, gdy srebrny też same usługi oddaje? Nie skończyłbym, chcąc wyliczać wszystkie zdrożności, które popełniamy w nieszczęsném marnotrawstwie naszém...

— Brawo, brawo! — zawołano ze wszystkich stron *).

Pan Deodat skłonił się skromnie i kończył zaczęte zdanie:

— ...tylekroć zgubném i tylekroć opłakaném. Nie mówię tu już o marnotrawstwie wyraźném, jawném, bo choć i ono grasuje jeszcze w kraju naszym, ale także i lada chłystek dojrzeć i potępić potrafi. Mówiąc o zbytku, mam głównie na myśli ten, który obłudnie się kryje pod maską: „życia wedle stanu.“ Nie wedle stanu, lecz niżéj niego żyć powinniśmy!

Oklaski powtórzyły się.

— Tą myślą powodowany, — kończył pan Deodat, — należąc do szczupłéj liczby dobrze myślących, głębiéj widzących rzeczy obywateli, ułożyłem statuta, celem zjednoczenia pań w stowarzyszenie, mające dopomódz do dźwignienia ojczyzny z jéj upadku, a to drogą majątku zdobytego oszczędnością.

— Cel chwalebny, lubo nie dość wyraźnie wyłuszczony, — odezwała się pani Sarnicka. — Oszczędność nie jest jedyną drogą zbawienia, a fałszywie zrozumiana...

*) Temu ostatniemu ogólnikowi autor także całém sercem przyklaskuje.

— Znakomity, wyborny pomysł! — przerwała szybko pani Gruszkiewiczowa, rada, że może przyciąć nieprzyjaciółce. — Kto go nie rozumié, to chyba nie chce...

— Prosimy o przeczytanie statutów! – ozwało się kilka głosów.

— Jest to projekt dopiero — rzekł pan Deodat, rozkładając rękopism. — Jeżeli panie sobie życzą, przeczytam go, a nad każdym punktem otworzymy dyskussję i wnosić będziemy poprawki.

— Zgoda, zgoda! — zawołały panie.

— Przepraszam, niéma zgody — przerwała p. Gruszkiewiczowa, siląc się na jak najsłodszy uśmiech. — Nasz łaskawy gospodarz głęboko zapewne zbadał tę kwestję. Wnoszę więc, aby dać mu votum zaufania i z góry przyjąć całość *en bloc*, a potém przystąpić do czytania, wykluczając wszelką dyskusję.

— Proszę o głos! — rzekła pani Sarnicka.

— Łaskawa pani Sarnicka dobrodziejka ma głos — oznajmił prezydujący.

— Wnoszę, aby nad wnioskiem mojéj poprzedniczki przejść do porządku dziennego.

Tu i owdzie dał się słyszeć lekki śmiech, w kaszlu i chrząkaniu stłumiony. Głosowanie wypadło na korzyść drugiego wniosku.

Pan Deodat odchrząknął, przybrał uroczystą postawę i zaczął czytać:

„Statuta stowarzyszenia nazwanego: Wspólne zjednoczenie oszczędności dam królestwa Galicji i Lodomerji z Bukowiną i W. X. Krakowskiém *).

Art. I. Każda stanowiąca członka stowarzyszenia, obowiązuje się żyć niżéj stanu i możności swojéj; z pensji miesięcznéj, choćby najszczuplejszéj, obowiązuje się przynajmniéj jednę trzecią część przy końcu miesiąca zaoszczędzoną zwracać mężowi, tytułem bonifikacji za jego trudy przy zaokrąglaniu majątku podjęte.

— To niepodobna! — zawołała pani Pendoros.

— Niewykonalny artykuł! — dodała pani Kostkiewicz.

— A to czemu? — zapytał pan Deodat.

— Ja dostaję tylko 25 reńskich...

— Ja 30, ale tyle wydatków...

— To dobre dla pani Kozłowicz, co bierze 150...

— Proszę o głos! — krzyknęła głośniéj nad inne pani Gruszkiewicz.

— Pani Gruszkiewiczowa dobrodziejka ma głos!

— Pozwalam sobie zrobić maleńką poprawkę: do zwracania części pensji zobowiązane są tylko te panie, które więcéj niż 30 reńskich miesięcznie pobierają.

— Brawo! wybornie!

— Jeszcze jedna uwaga — ciągnęła daléj pani Gruszkiewicz mizdrząc się i skromnie w dół spuszczając oczy.— A jeżeli jaka biedna sierota sama rządzi majątkiem?... jeśli mąż... ach!...

— No, to rozumié się, że w takim razie sama sobie zwraca powyższe oszczędności — zauważył prezydujący.

Art. I przyjęto z poprawką. Pan Deodat czytał daléj:

Art. II. Każdy członek stowarzyszenia obowiązuje się uczęszczać tylko na tak zwane bale dobroczynne i to nie częściéj jak dwa razy do roku. Od wszelkich innych zabaw stanowczo uchylić się należy. Że zaś i na balach dobroczynnych bufet wielką rubrykę wydatków stanowi, przeto każdy ma przywozić z sobą skromną przekąskę i takową w gronie rodziny spożyć.

— Hi hi hi! — ozwał się głos z kącika.

— Róziu! — zawołała pani Sarnicka.

— Proszę mamy, to zabawne!... a jeżeli nie głodny?

— Proszę o głos! — rzekła pani Toporowicz. — Trudno od wszelkich zabaw usuwać się; ja np. nie mogę poświęcić imienin u Teci; bywam na nich co roku i bawię się doskonale...

— Ale suknia za 150 reńskich! — zauważyła pani Gruszkiewicz. — Jabym postawiła poprawkę, żeby ze względu na suknie, i od balów na ubogich się usunąć.

— Nie chcemy! nie chcemy! — zawołały panie, chwytając oburącz jedyną możliwą nadzieję zabawy. Trzeba dodać, że pani Gruszkiewicz na żadnych balach nie bywała, a tém mniéj na dobroczynnych.

Po żwawéj dyskusji, przyjęto artykuł II większością jednego głosu. Pani Zofja z Koronieckich Cezarkowska przechyliła szalę zwycięztwa. Pani Sarnicka nie mięszała się do obrad, a głos jéj stanowczo do opozycji należał.

— Art. III — czytał prezydujący: — Suknie jedwabne mają być wygnane z naszego stowarzyszenia. Perkalik, flanela, oto ozdoba godna dziewic i matron naszych...

Nagła wrzawa przerwała szczytny frazes pana Deodata. Wszystkie panie równocześnie zerwały się z miejsc i zaczęły protestować.

— Pan nam wszystkiego odmawiasz...

— Ubiór to nasza rzecz...

— Panowie się na tém nie znają...

— Widać zaraz, że mężczyzna redagował...

— Moja służąca w perkalikach chodzi...

— Żebyż choć wełniane pozwolił...

— Niepodobna! nie chcemy! nie pozwalamy! nie przystajemy!...

Pan Deodat rozpaczliwie spojrzał ku kanapie, jakby wzywając ratunku. Tam, obok żony jego, milcząc i uśmiechając się, pani Gruszkiewicz rozpostarła swoje wdzięki i patrzała nieruchomie na burzę, grożącą obaleniem rozpoczętéj budowy. Gdy wzrok pana Deodata padł na nią, pani Gruszkiewicz odpowiedziała mrugnięciem porozumienia, wyciągnęła szyję, i krzyknęła ile sił starczyło:

— Proszę o głos!

Te trzy słowa magiczny skutek wywarły; idąc za przykładem tysiąca powieściopisarzy, porównam je do ude-

*) Autor dla braku cywilnéj odwagi, czuje się zniewolonym oświadczyć, że tak za treść jak i za styl ustawy, nie bierze na siebie odpowiedzialności.

rzenia piorunu między stado owiec. Damy spojrzały po sobie, zamilkły i usiadły.

— Artykuł trzeci — rzekła pani Gruszkiewicz — wymaga wielkiéj zmiany.

— Tak, tak... skasować!...

— Proszę mi nie przerywać. Oceniając szlachetne zamiary naszego prezydenta i twórcy tak zbawiennych statutów, nie możemy lekkomyślnie odrzucać któregokolwiek punktu, bez głębokiéj rozwagi i dyskusji.

— Perkalik, flanela! może zgrzebne płótno...

— Za pozwoleniem!.... — odparła preopinantka. — Postaram się w méj przemowie uwzględnić słuszne żądania pań, a zarazem zwrócić uwagę szanownego prezydenta, że trudno od razu zerwać z tradycją przeszłości...

— Brawo! brawo!...

— Prawda, że materje jedwabne są najkosztowniejszym strojem, ale z drugiéj strony, oszczędność jest matką wynalazków. Z trzeciéj strony, odwiedzając osoby nie należące do stowarzyszenia, musimy jakieś ustępstwa wymaganiom świata uczynić. Z czwartéj strony, materje wełniane prawie tyle co jedwab kosztują...

— Wełna także skasowana, — wtrącił nieśmiało pan Deodat.

— Za pozwoleniem. Otóż wnoszę poprawkę następną: Odwiedzając po raz pierwszy osoby nie należące do stowarzyszenia, wolno jest członkowi tegoż stowarzyszenia wystąpić w jedwabnéj sukni, pod warunkiem, że za pomocą odświeżania, farbowania i nicowania, suknia taka na lat dziesięć wystarczy. Na wszelkie inne wizyty, a szczególniéj między członkami stowarzyszenia, wolno mieć suknie z lekkiéj materji wełnianéj. Niedawno właśnie otrzymałam adres kupca.... po 38 kr. łokieć.... chętnie go paniom udzielę. Na codzienne zaś użycie popieram perkalik i flanelę.

— Ośmielam się dodać jeszcze — rzekł pan Deodat — że według starego przysłowia, nie ubiór człowieka zdobi. Patrzcie, moje panie, ja mam stary surdut — i szczęśliwy jestem, słowo honoru! jeżeli moje skromne dochody pozwolą mi raz w trzy lata tak ogromny wydatek zrobić. A jednak, moje panie i łaskawe sąsiadki, każdy mnie zna i szanuje, chociażbym w łachmanach chodził, bo każdy wié, że jestem Deodat Cezarkowski! To jest nasza, właścicieli tabularnych, przewaga nad proletarjuszami, co choćby w aksamitach chodzili, z oczu im widać, że nic nie mają.

Dla świętéj zgody, uchwalono poprawkę i artykuł. Ale od téj chwili rozpoczęło się rozdwojenie. Damy, wstydząc się cofać w stanowczéj chwili, zgadzały się pozornie, a w skrytości serc swoich przemyśliwały nad środeczkami, któreby im dozwoliły obejść ustawę nie naruszając jéj. Pani Kostkiewicz, niezbyt biegła dyplomatka, już układała w myśli list do którego z pp. ministrów z prośbą o radę.

Dla świętéj zgody także, uchwalono bez opozycji następne punkta:

Art. IV. Gdy w dom twój przybędą goście, staraj się o zastawę jak najskromniejszą. Żadnych pieczeni, żadnych kolacji, żadnych ciastek. Chleb, masło, herbata, oto serdeczne, staropolskie przyjęcie.

Art. V. A że z jasno palącą się świecą trzeba szukać takiéj, którąby nie była, lub nie pragnęła być choć raz w Paryżu, przeto wszelkiéj jazdy za granicę zabrania się; przekroczenie tego punktu może być przeszkodą do przyjęcia w grono nasze, a jest w każdym razie wykluczeniem już istniejącego członka. Na wyroku wykluczającym ma stać wyraźnie: „była w Paryżu.“

Art. VI. Podróż do Lwowa, lub innego miasta w obrębie Galicji, zostaje dozwoloną pod następującemi warunkami:

a) Jeździć z własną pościelą.

b) W hotelu najmować jeden pokoik, najniżéj na trzeciém piętrze.

c) Raz tylko być w teatrze i to nie brać loży, ale siadać na krzesłach.

d) Jeść przy wspólnym stole, aby uniknąć zapłaty niepotrzebnéj za noszenie obiadu do numeru.

Art. VII. Polowania są dozwolone, bo zwierzyna do gospodarza należy. Ale nie wolno dawać strzelcom do kniei wina, pieczeni i tym podobnych kosztownych przekąsek. Chleb razowy, wymierzona ilość kieliszków wódki, którą sama przyrządziłaś...

— Hi hi hi! dało się słyszeć z kącika.

— Róziu! — zawołała matka.

— Ale bo proszę mamy, przecież mama nie będzie gorzelnikiem...

Odchrząknął mocno pan Deodat i zabójczym wzrokiem spojrzał na dziewczynkę.

— Tu mowa o nalewkach — rzekł, zwracając się do towarzystwa. — Wszak panie rozumieją!

— Rozumiemy, rozumiemy! — odezwało się kilka głosów.

— Co za obrzydliwy dzieciak! — szepnęła pani Gruszkiewicz.

— ... którą sama przyrządziłaś — kończył pan Deodat. — Gospodarz zaś, któryby po polowaniu śmiał poczęstować strzelców bezikiem, wistem, preferansem, lub inną grą hazardową, tém samém stanąłby o sto procent niżéj statutów naszych, a żona jego ze stowarzyszenia wykluczoną zostanie.

Ósmy i ostatni artykuł opiewał:

„Gdy dowiedzioną jest rzeczą, że manja cudzoziemczyzny głównie i jedynie za pomocą obcych języków do nas się wkrada, przeto obowiązuje się każdy członek stowarzyszenia w domu swoim wykreślić języki obce, a szczególnie francuzki z programu wychowania dzieci, i tę zasadę w kole dobrze myślących znajomych rozszerzać.“

Nad tym punktem gorące wywiązały się rozprawy.

Równa liczba głosów wypadła za i przeciw artykułowi. W końcu przemogło zdanie pana Deodata, który wyrachował, że na samym języku francuzkim oszczędza się na wsi guwernantkę, to jest od 200 — 300 reńskich, a w mieście prywatne lekcje, czyli najmniéj 100 reńskich rocznie, co przez cały przeciąg nauki do olbrzymiéj jednostki z trzema zerami urośnie.

— Porachujcie tylko, moje panie — rzekł, kończąc swoje wywody pan Deodat, — ile taka oszczędność przysporzyć może. Trzysta reńskich w pierwszym roku oszczędzone, dają, przy umiejętnym obrocie, czterysta — do tych doliczam w roku drugim trzysta, to siedmset, te dają przy końcu drugiego roku do tysiąca.... nie pobłądzę, twierdząc, że kapitał ten, pomnożony procentami od procentów, uczyni w porze, gdy dla córki mąż się zjawi, sumę ładnego posagu. Cóż jéj po języku francuzkim? — nic, a pieniądz zawsze przyda się w gospodarstwie.

Głośne oklaski nagrodziły krasomówcze rachunki pana Deodata. Ustawa, przyjęta w drugim i trzecim czytaniu, czekała na podpisy. Ale napróżno pan Deodat chodził z umaczaném piórem od jednéj do drugiéj damy, narażając suknie na nieoszczędne splamienie: żadna nie chciała być pierwszą. Dlaczego? przenikliwe czytelniczki łatwo odgadną. Zafrasowany gospodarz chciał już podać— wbrew prawidłom grzeczności — umaczane pióro żonie swojéj, gdy błagalny wzrok jego znów się spotkał ze znaczącém spojrzeniem pani Gruszkiewiczowéj. Teraz pan Deodat odpowiedział mrugnięciem porozumienia, a pani Gruszkiewicz pochwyciła pióro, zbliżyła się do stołu prezydjalnego i równie szybko jak nieczytelnie nakreśliła:

„Przyjmuję w całéj osnowie i podpisuję. – Anastazja Gruszkiewicz.“

Tym sposobem pierwsze lody przełamane zostały. — Każda z pań chciała teraz być pierwszą, i w parę minut ośm nazwisk zdobiło płód gieniuszu pana Deodata. Brakło jeszcze podpisu pani Sarnickiéj. Ta, zawahała się chwilę, gdy pan Deodat podał jéj pióro, wreszcie z lekkiém westchnieniem powstawszy, skreśliła te słowa:

„Do uwag powyższych, o ile wewnętrzne przekonanie, zdrowie i okoliczności pozwolą, stosować się będę. — Anna Sarnicka.“

Skrzywił się prezydujący; szczególniéj wyraz ogólnikowy: „okoliczności“, rodził w nim podejrzenie zdrady. Żałował teraz, że panią Sarnicką na obrady zaprosił.

Paweł oznajmił herbatę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZYJDŹ!

W niebo z nią razem i w gwiazdy patrzący
Mówiłem jako miłość jest szalona!
I nie wiem czemu — czy ja byłem śpiący,
Czy ona była spowiedzią znudzona.
Dosyć że w niebo patrząc dusze obie
Tak w zachwyceniu jéj — zasnęła sobie!

Więc zostawiłem śpiącego Anioła
Między kwiatami. — Niech wilgotna rosa
Budząc ją z marzeń, na salon zawoła.
Wieczór nie dobrze patrzeć jest w niebiosa,
Jeśli kochance brak usposobienia
Do cichych marzeń i do zachwycenia.

Późniéj po kilku niewidzenia latach,
Gdym się z nią spotkał na jakiejś reducie,
Mówiła długo o sercu, o kwiatach,
Mówiła rzewniéj niż w słowiczéj nucie
Najwyższy akkord.... A mała jéj rączka
Była na sercu — z nią ślubna obrączka.

A gdym ją spytał kiedy przysięgała
Ostatnią miłość.... za odpowiedź całą
Blada przedemną jak marmur — płakała.
Więc się dziwiłem że na łzy ją stało!
Bo czemuż płakać za tem co nie wróci,
Czemu się patrzeć w twarz co śmiechem — smuci.

A więc — kochanko moja z pod obłoków
Kiedy cię zmęczy szał, wrzawa i bale,
Przyjdź — czekam ciebie nad brzegiem potoków,
Gdzie słowik śpiewa nokturny — a fale
Szepczą mu miłość wierniejszą niż twoja,
Tam ciebie czekam — przyjdź — kochanko moja!

Aleksander.

KORESPONDENCJA.

Lwów, d. 12 czerwca 1869 r.

My. S. — Zaproszony uprzejmie na korespondenta „Kaliny“, czuję się w obowiązku uczynić małe wyznanie wiary, tojest wyrażając się stylem polityków, nakreślić program jakiego mam mocną a nieprzymuszoną wolę trzymać się wiernie i stale. Chciałbym o ile na to zdolności moje literackie pozwolą być wyczerpującym, by tym sposobem podać możność czytelniczkom zapoznania się z całym ruchem jaki u nas panuje na polu literackiém, artystyczném i muzykalném. Korespondencje więc moje będą nie czém inném jak tylko kroniką lwowską... a jeśli czasem w świat uprzywilejowany dla muz i artystów zakradłaby się mała ploteczka brukowa, to... sur ma petite parole d'houneur, nie z mojéj winy — gdyż program mój z góry

nakreślony. Nie chcąc zaś iść drogą utartą przez tak zwanych rutynistów, zaczynam pierwsze moje sprawozdanie miesięczne od tego — na czém się zwykle wszystko u nas kończy, tojest od uczty danéj dnia 10 maja na cześć Dra Michała Nowickiego prezesa komissji fizjograficznéj krakowskiéj, w celu uczczenia przybyłego gościa z Krakowa, a zarazem przedstawienia takowemu jako prezesowi niektórych propozycji i wniosków przez członków lwowskich tejże komissji. — Imieniem gospodarzy powitał gościa Dr. praw p. Stanisław Kunasiewicz bardzo piękną przemową, któréj jako rzeczy dosyć dawno przebrzmiałéj powtarzać nie będziemy. Jednakże godzi się wiedzieć, że potrzeba niemałego talentu, aby o przedmiocie tak zimnym jak fizjografja powiedzieć coś równie pięknie. Po powitaniach i przemowach radzono tam wspólnie nad środkami, jakiemi można podnieść nauki przyrodnicze a tém samém przyczynić się do dokładniejszego poznania przyrodniczego bogactwa naszego kraju, jako warunku dobrobytu, oraz wydobycia z obcych rąk przemysłu i handlu.

Z kolei wypada nam powiedzieć słów kilka o Towarzystwie naukowo-literackiem, które w tym roku dało 15 odczytów. Większa część tych wykładów ogłoszoną będzie drukiem, i tak: wykłady Tatomira wyjdą jeszcze w ciągu b. m. nakładem pp. Sejfartha i Czajkowskiego; wykład Karola Libelta drukuje obecnie „*Mrówka*", a wykłady Konstantego Pietruskiego wydrukowane zostały w odcinku „*Gazety Narodowéj*" i wyjdą jeszcze w osobnych odbitkach z illustracjami p. Salba w Krakowie. — Wykłady te były jedyną oznaką życia Tow. nauk.-liter. od czasu jego istnienia. O innych stowarzyszeniach zaledwie z gazet dowiedzieć się można; zawiązały się, to jest zrobiły wszystko co od dobréj woli ludzi zawisło, a przy dzisiejszéj manji stowarzyszeń i dziwić się nie można, jeżeli zakres ich działania nie sięga poza obręb miejsca sessji, obrad i sprawozdań generalnych; — zwłaszcza, że prawie we wszystkich klubach te same figury występują jako prezesi lub vice. — To też zwykle owoce są żadne prac takich dorywczych, a towarzystwo w łonie swoim nosi zarodek śmierci z pierwszym dniem urodzenia. Że przecież każda reguła ma swoje wyjątki, więc i *Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie* musimy wyjąć z pod ogólnego sądu o ogólnym pomorze w przyszłości na wszystkie towarzystwa lwowskie — co może i lepiéj będzie, żyć wygodnie pod jednym pasterzem i w jednéj owczarni. Jakkolwiek towarzystwo sztuk pięknych lwowskie drugą dopiero urządziło wystawę, jakkolwiek są i tacy, którzy powiadają, że uboższą jest od zeszłorocznéj - my przecież nie na wszystko godzić się możemy. Spotykaliśmy bowiem prace pierwszych koryfeuszów malarstwa, a mówiono nam i zapewniano (solennie) że przybyć ma na wystawę wiele jeszcze pięknych arcydzieł, między któremi dosyć wspomnieć prace ś. p. Simmlera. Nie wdając się w krytyczny rozbiór, wolimy powiedzieć o tém co nie wymaga krytyki lecz tylko uwielbienia. Pomiędzy takiemi dziełami jest rzeczy nie wiele, to prawda, ale „*Zygmunt* i *Barbara*" Matejki oraz „*Król Łokietek na wygnaniu*" Gersona za wiele starczyć mogą. Podobno na premją towarzystwo zakupiło obraz Streita „*Czaty*", do którego artysta za temat wziął ten ustęp z ballady Mickiewicza:

Wzięli bronie, wypadli, do ogrodu się wkradli,
kędy szpaler altanę obrasta.
Na darniowém siedzeniu, coś bieleje się w cieniu;
to siedziała w bieliźnie niewiasta.
Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy
i pierś kryła pod rąbek bielizny;
Drugą ręką od łona odpychała ramiona
klęczącego u kolan mężczyzny....

Na zakończenie wypada nam donieść o nowéj a bolesnéj stracie z szeregu coraz bardziéj przerzedzającego się zasłużonych krajowi na polu literackim mężów. 18-go bowiem maja umarł we Lwowie *Ksawery Godebski* syn pułkownika wojsk polskich, poległego pod *Raszynem* w 1809 r. Całe życie swoje poświęcał ś. p. Ksawery Godebski literaturze. W młodości swojéj był współpracownikiem „*Wandy*" czasopisma wychodzącego w Warszawie. W roku 1831 redagował „*Orła białego*", na krótki czas przed wybuchem powstania listopadowego ożenił się na pińszczyznie, gdzie był wybrany przez współobywateli powiatu łuckiego na posła sejmu warszawskiego. Po upadku powstania emigrował do Francji, gdzie pośredniczył pomiędzy emigracją a rządem Filipa Ludwika. Przed kilkunastu laty przyjechał do Lwowa, gdzie w roku 1859 objął urząd kustosza przy zakładzie naukowym imienia *Ossolińskich*. Ciekawszych zaś szczegółów prac ś. p. Ksawerego Godebskiego odsełamy do encyklopedji Orgelbranda, gdzie p. *Estrejcher* zamieścił dokładny życiorys zmarłego.

KILKA CHARAKTERYSTYCZNYCH RYSÓW

Z ŻYCIA

MARJI STUART.

(Rzecz oparta na najnowszych badaniach historycznych)

przez *Edwarda Lubowskiego.*

(Ciąg dalszy).

II.

Marja przybywszy do Calais zapłakała boleśnie. Porzucając wszystko co kochała, wszystkich którzy ją kochali, Francję, w któréj jak to było dotąd, nie mogła

już dalej być pierwszą — puszczała się w kraj na pół dziki, całkiem sobie nieznany, zawichrzony kłótniami religijnemi i politycznemi. Pomyślawszy jednak o Elżbiecie, królującéj z taką sławą tak wielkiemu krajowi, uczuła się podżegniętą w miłości własnéj, chcącéj jéj dorównać jeżeli nie przewyższyć. Stryjowie wprawdzie i nadal mieli jéj udzielać rad swych doświadczonych, ale ta nagła samodzielność straszyła ją po trosze, a zarazem dumną czyniła. Dumną, bo marzyła, że uczyni naród swój szczęśliwym, że wesprze sprawę katolicyzmu, że czuwać będzie nad koroną Anglii, jéj z prawa przynależnéj. Marzyła dumnie, chcąc może w ten sposób zagłuszyć żal za Francją i tęsknotę rozdzierającą serce.

Kto spojrzał wówczas na nią, jak w całym blasku piękności sławionéj po całym świecie, opiewanéj w późne wieki, piękności tak nadzwyczajnéj, że jéj wielu poetów nadało przydomek „nieśmiertelnéj“, rozpływała się we łzach, harmonizując tym nastrojem duszy z grubą przywdzianą żałobą: tenby niezawodnie przyznał, że jéj pieśń pożegnalna płynęła prosto z serca.

To też strofy te, noszące na sobie piętno głębokiéj liryki i siły, mającéj dziś jeszcze swą wartość, nasuwają mimowoli pamięci słowa Czaild-Harolda.

Posłuchajmy jednéj zwrotki téj pieśni skończonéj przez nią późniéj w zamku Holyrood:

Żegnam cię Francyo mój cudny świecie,
Droga kraino
Coś mnie dzieciną
Wypiastowała jak matka dziecię.
Żegnam cię Francyo i dnie wesela —
Łódź, która naszą miłość rozdziela
Połowę tylko Maryi bierze —
Druga połowa tu się zatrzyma —
Twéj ją Francyo przyjaźni zwierzę,
Niech ci przypomni tę, któréj niéma.

Już nadszedł czas, w którym trzeba było rozłączyć się z orszakiem odprowadzających ją przyjaciół. Łkanie tłumiło słowa, któremi chciała ich żegnać, położyła tylko rękę na sercu i tak wstąpiła na brzeg, u którego czekała na nią już mała flotylla. Składała się ona z dwóch galer i trzech okrętów przewozowych. W chwili odpłynięcia, roztropny stryj kardynał radził jéj, aby mu powierzyła brylanty, mogące uledz zagubie podczas niebezpiecznéj podróży, na co mu Marja z uśmiechem odrzekła: „że brylanty temu samemu powinny uledz losowi, co królowa szkocka“ — poczém wskoczyła lekką stopą na pokład okrętu, gdzie zastała świetne jeszcze grono francuzkich magnatów, chcących z nią i dalsze podzielić losy.

Z pluskiem pierwszych fal odpychających od brzegu flotyllę, łzy znów oblały twarz rozrzewnionéj królowéj. Przez pięć godzin nie odwracała oczu od portu, powtarzając ciągle z cicha: „Żegnam cię, żegnam Francjo! ty moja jedyna radości!“ Dopiero ciemność nocy potrafiła ją wyrwać z zadumy pełnéj bolesnego odrętwienia; lecz kazała się obudzić sternikowi z pierwszym brzaskiem dnia, dozwalającym jéj raz jeszcze ujrzeć granice tak przez siebie ukochanego kraju. Sternik wypełnił polecenie — obudził królowę, która żegnając ręką ukochane brzegi, szeptała żałośnie: „Wszystko się już skończyło, żegnam cię Francjo; nigdy cię nie zapomnę, choć cię już więcéj nigdy nie zobaczę.“

Długo jeszcze ukoić nie mogła dławiącego ją żalu, ani przytłumić strasznego *przeczucia*, mającego się sprawdzić tak fatalnie. Niestety — po latach kilkunastu przypomni jéj się to pożegnanie, przypomni to proroctwo rozpacznie wyszeptane nieoglądania kraju, z którym ją wiązały dni najszczęśliwszéj przeszłości.

Dzięki mgle otaczającéj horyzont, flota uniknęła szczęśliwie angielskiéj zasadzki czyhającéj między Berwick i Dunbar na to, aby osobę królowéj uwięzić. Wylądowano w porcie Leith, gdzie jednak nic nie przygotowano na jéj przyjęcie.

Angielskim ministrom wcale się ten przyjazd nie podobał. Oto co pisze Cecil 30 czerwca 1561 do posła angielskiego w Edynburgu: „Zdaje się nam, że przyjazd królowéj szkockiéj, zanim stan rzeczy uporządkowanym zostanie, tylko szkodliwym być może. Jedynym środkiem zapewnienia pokoju jest powzięcie innego przekonania religijnego ze strony królowéj szkockiéj i jéj przyjaciół.“

Szlachta zgromadzona w Edynburgu, dowiedziawszy się o wylądowaniu królowéj, połączyła się z świetnym jéj orszakiem cudzoziemskim. Szkoci w swym narodowym kostiumie, przez który przeświecała błyszcząca zbroja nie porzucana nawet w nocy, z obawy upowszechnionego od czasu reformy skrytobójstwa, z wzrokiem ponurym, podejrzliwie witającym przepych zamorski, postępowali zwolna naprzeciw królowéj prowadząc konie za cugle. W twarzach ich łatwo wyczytała zdziwiona królowa niechęć i nieufność; swoim jednak niewysłowionym wdziękiem umiała ich tak oczarować, że tylko fanatyczni protestanci i przyjaciele Knoxa ani na chwilę nie wyszli ze swéj ponuréj powagi.

Marję w jéj pochodzie przyjmowano obojętnie, z pewném zadziwieniem, czasem nawet nieprzyjacielsko, a rzadko tylko gdzie z owemi okrzykami radości, do których tak przywykła we Francji. Kiedy nareszcie udała się na spoczynek w zamku swym w Holyrood, usłyszała nagle pod oknami chrapliwy śpiew psalmów wykonany przez mieszczan edynburskich jakby na szyderstwo. Marji na łzy się zebrało; czuła się coraz bardziéj oddaloną od ukochanego przez siebie kraju; a tu jeszcze nad ranem potrzeba było ukazać się ludowi i podziękować za owe pieśni pogrobowe, mające być powitalną serenadą.

Smutnemu usposobieniu Marji nie brakowało innych nadto złowróżbnych znaków, które najoświeceńszy nawet umysł na złe zwykł sobie tłumaczyć. Tak naprzykład,

gdy podczas ubierania się z uwielbieniem patrzała na piękny portret ojca Jakóba V, wiszący w jéj komnacie, portret ten nagle spada, a płótno rozdziera się w miejscu, gdzie piękna twarz jego jaśniała.

Kiedy nazajutrz kapłan wyszedł z mszą św. mającą być odprawioną w królewskiéj kaplicy, uprzedzony lud zebrawszy się tłumnie byłby kapłana zamordował w oczach królowéj, gdyby nie pośrednictwo lorda Stuarta, przeora z Saint-André. Przeniknęła wtedy Marja podwójne niebezpieczeństwo łączące się dla jednego celu, tojest protestantyzm szlachty z przyczyn politycznych, z sekciarstwem fanatyczném mass. W dwa dni dopiero zabłysła twarz Marji znów uroczym uśmiechem — na balu. Nieliczny ale świetny orszak francuzki zaćmił wspaniałością i przepychem strojów dumną szlachtę szkocką. Drogie kamienie i koronki brabanckie, jedwab cypryjski z zamorskiemi perłami olśniewały patrzących. Sale balowe zamku błyszczały jak jeden transparent. W jednéj z nich, Marja ubrana jak podczas balów w Luwrze, zasiadła na tronie swych przodków.

Damy wysokiego rodu przyjechały na pierwszy ten bal dworski z najdalszych okolic Edynburga, lecz ani jednéj wdzięki nie wytrzymały porównania z wdziękami téj któréj się i berło piękności należało. Wtedy to przekonać się było można o potężnym wpływie piękności kobiecéj; grupy albowiem otaczające tron a złożone zarówno z Francuzów, jak i z hardych aż dotąd Szkotów, siliły się zwrócić na siebie uwagę królowéj umiejącéj w téj chwili pięknością swą i zalotnością dopomódz politycznym widokom. Dodać należy, że piękne oczy królowéj starały się tego wieczoru oczarować raczéj Szkotów aniżeli Francuzów. Między najznakomitszemi Szkotami odznaczali się: lord James Stuart brat naturalny Marji, piękny, dumny, żołnierz dzielny i dyplomata zręczny; hrabia Morton, człowiek chytry i dziki; lord Ruthwen, podstępny i przebiegły; Lindsey, dzielny żołnierz i najzagorzalszy sekciarz; lord Huntly, pyszny z olbrzymich bogactw i tysiąca wassali; Kirkaldy de Grange, wódz strategik podziwiany przez całą Europę; Robert Melwil przywiązany bez granic do swéj królowéj; lord Hamilton, którejto familji szefem był właśnie były exregent hrabia d'Arran, nareszcie Flemingi i wiele innych rodzin katolickich, znajdujących się jednak w mniejszości. Knoxa tylko jednego nie było — nieobecność tę zauważyli wszyscy. Królowa może więcéj jeszcze nieobecność tę uczuła. Wiedziała ona dobrze, że Knox i brat jéj Stuart mają obecnie najwięcéj wpływu w kraju; dla tego brata tego mianowała naczelnikiem swego gabinetu, niby dzisiejszym prezydentem ministrów, dodając mu do pomocy Maitlanda Lethington. Obaj przez swoje zdolności i stosunki z dygnitarzami Anglii, najprędzéj utrzymać mogli harmonię pomiędzy dwiema królowemi.

Marja zasiadała podczas deliberacji nad sprawami państwa z robótką w ręku, co jéj jednak nie przeszkadzało wtrącać od czasu do czasu słówko w rzeczach administracji lub polityki, bystre i trafne zawsze prawie, jeżeli tylko nie chodziło o jéj interesa osobiste lub interesa familii.

We wrześniu 1561 r. wysyła Maitlanda do Elżbiety z zapewnieniem o swojém najszczerszém do niéj przywiązaniu. Z poselstwem tém rozpoczyna się cały szereg korespondencji między temi dwiema niewiastami, w których nieszczerość, chytrość, obłuda i talent intrygi walczyły z sobą o lepsze, dopóki zimniejsza i pewniejsza siebie Elżbieta nie pokonała namiętnéj i unoszącéj się przeciwniczki. Marja z początku ograniczając się tylko na formach wyszukanéj grzeczności, unikała starannie najmniejszego napomknięcia o zrzeczeniu się praw swoich do korony Anglii. Grzeczność serdeczną jednak posuwała tak daleko, że kiedy mówiono o jéj powtórném zamężciu, rzekła: „Nie chcę innego męża, prócz królowéj Anglii,“ przyczém włożywszy list Elżbiety za gors, dokończyła: „Chciałabym gdyby można list ten umieścić jeszcze bliżéj serca.“

Zręczne te manewra psuły nawet szyki Randolfowi posłowi angielskiemu, który pisze do Cecila w dniu 30 stycznia 1562 r.: „Przyjaźń Marji dla Elżbiety jest tak wielką, że nie wiem czy była kiedy takąż dla kogobądź innego, chyba żeby to wszystko było najpierwotniejszém maskowaniem się. Staram się téż od jéj najbliższych wybadać, co myśli szczerze a co udaje (ex natura aut ex industria), do czasu zbadania jednak potrzeba czekać trzymając się maxymy: nihil simulatum diuturnum.“

Marja wysyłając poselstwo do Elżbiety, chciała się zabezpieczyć na zewnątrz, w obec wzburzonych ustawicznie żywiołów wewnętrznych. Prócz wielu nieprzyjaciół w kraju, nieprzyjaciół jéj osoby, religii, rodziny i polityki, najbardziéj niebezpiecznym był tak często przez nas wspominany Knox.

Marja nie zatwierdzająca konfessji ogłoszonéj aktem parlamentu z r. 1560, ani konfiskacji dóbr kościelnych, drżała na samo wspomnienie tego strasznego i śmiałego burzyciela dogmatów i świątyń, burzyciela za pomocą pamfletu, kazań i wymowy. „Potrzeba go pozyskać, mówiła, inaczéj popłynie więcéj łez, aniżeli płynie wody w rzece Forth.“ Zawezwała go więc do siebie.

Oto co pisze o tém Randolf do Cecila w dniu 7-ym września 1561 r.: „Zapewniam was, że głos *jednego* męża wywołuje w nas czasem więcéj życia, aniżeli 500 trąb brzmiących ciągle pod naszemi uszami. Zatrząsł tak silnie jéj sercem, że się rozpłakała, lubo płakać można zarówno z gniewu jak z boleści. Wyrzucała mu jego dzieło: „o następstwie na tron kobiet,“ i jego surowe postępowanie ze wszystkimi, którzy nie są jego zdania. Knox ułagodził intencję swego dzieła, ale w innych kwestjach był nielitościwy; tak naprzykład oświadczając się przeciw odprawianiu mszy św.

Nadarmo siliła się urocza kobieta oczarować go swą

łaską, wdziękami lub słodyczą obejścia; nieugięty reformator był nielitościwie nieczułym, nawet tam, gdzie powinien był zachować względy, których się zwykłéj kobiecie nie odmawia. Jako republikanin i protestant, podwójnie Marji nienawidził. Wyrzucał jéj też zbytki, bale, czém upokorzył do łez nieszczęsną królową.

Pewnego razu spytała go: „Czyś gotów utrzymywać, że owi poddani są twoimi? czy może nakażesz im mnie opuścić, aby szli za tobą?

„Nie królowo, jeżeli posłuchasz głosu świętych - ponieważ napisano: „królowie są pasterzami, królowe matkami, żywicielkami kościoła."

Jakiego?

Jedynego, dobrego.

Jedyny dobry kościół, zawołała z uniesieniem katolicka Marja, jest ten, którego bronić nie przestanę, którego rzeczywiście matką jestem i żywicielką, jestto, dowiedz się, kościół rzymski.

Na te słowa Knox zbladły z gniewu zawołał groniąco:

„Zginiesz, jeżeli sprawę rzymskiego kościoła swoją uczynisz." I odszedł zwolna i groźnie, a tłum uczniów i wielbicieli pytał go ciekawy o treść rozmowy.

„Gwizjuszka powoduje Francją, odpowiedział im Knox, zalewają nas sonety, bankiety i cały ten południowy poganizm. Niéma się czego spodziewać od téj Moabitki... zmysł pychy, papizmu i jéj przeklętych stryjów mieszka w niéj."

Obejście się jednak Knoxa z królową wydawało się nawet wielu szkockim panom protestanckim za szorstkie; oto co pisze Maitland do Cecila w téj mierze: „Życzyćby należało, aby Knox mniéj był gwałtownym z królową, która umiała zachować względem niego roztropność wyższą nad jéj wiek."

Po każdéj rozmowie z Knoxem Marja czuła się podwójnie zgnębioną: jako królowa katolicka i jako kobieta; to też dworzanie niejednokrotnie zauważyli wówczas twarz jéj bladą i smutnie zadumaną.

III.

Chcąc mieć jasno przed oczami cały późniejszy obraz starcia się dwóch królowych, starcia prowadzącego jednę z nich na rusztowanie, potrzeba już teraz śledzić punkt za punktem ich wzajemny stosunek — jakkolwiek on jeszcze ma wszystkie pozory serdeczności i sąsiedzkiego przymierza. Charakterystyczną i bardzo wiele dającą do myślenia, jest ta szermierka słów zawarta w listach Marji i Elżbiety, słów polerowanych, zewnętrznie gładkich i ozdobnych, a przeszywających i obosiecznych, gdy się im przyjrzeć z bliska. Listy te i oświadczenia ustne, dawane obopólnym ambasadorom — to jakby gładka powierzchnia morza, kryjąca pod sobą huraganowe burze, oczekujące lada powiewu, aby nawet ślad powierzchni zakłębić w sobie i zatopić na wieki. Dla dramaturga zaś byłyby nieoszacowanym materjałem do stworzenia z nich osi, około któréj obracałaby się cała akcja. Wiemy już o wysłaniu Maitlanda celem oświadczenia swéj „dobréj kuzynie" pokoju i prośby o uważanie jéj tylko jako prawną swą sukcesorkę, zrzekającą się jednak za jéj życia wszelkich praw, które sobie jeszcze jako królowa Francji przywłaszczyła. Elżbieta mogła, nie mając innych sukcesorów, zadość uczynić téj prośbie, lecz gniew i ślepa zazdrość zamknęły jéj serce, zaczęła więc od przekupienia Maitlanda. Wielokrotnie już czyniono wnioski, czy w razie gdyby się kiedykolwiek Marja z Elżbietą osobiście zetknęły, zawarłyby z sobą szczerą przyjaźń, czy też zerwanie jeszcze prędzéjby nastąpiło? Jakkolwiekbądź, to pewna, że w roku 1562 królowe chciały się ustnie porozumieć. W tym celu powiada Elżbieta do lorda Hastings, aby na nią czekał w York ze stosownym orszakiem. — W lipcu tegoż roku posłowie królowych ułożyli traktat, mający wzajemną przychylność ustalić i podnieść. Z wielu przeszkód spotkanie to odłożono do przyszłéj wiosny: nie przyszło ono jednak nigdy do skutku, o co atoli nie dbał Szyller w swéj tragedji. W tę chwilę przypada sonet ułożony przez Marją, wyrażający żal i tęsknotę za osobą Elżbiety — wiersz kunsztowny, czy jednak szczery, to inne pytanie; lubo przypuścić możemy, że Marja nienawidziła jeszcze tak od razu jak Elżbieta. W r. 1563, gdy już troski rządzenia zmęczyły młodocianą królowę po odebraniu listu od Elżbiety za pośrednictwem Randolfa, odezwała się z radością: „Bóg widocznie nie chce mnie opuścić, skorom otrzymała od Elżbiety, méj *dobréj siostry*, list najprzyjemniejszy ze wszystkich dotąd odebranych." W r. 1565 królowa pojechała do Saint-Andrews i w jednym z domków tego miasta osiedliła się na czas jakiś z zamiarem rozerwania się na sposób mieszczański, bez wszelkiéj etykiety. Randolf doręczył jéj list Elżbiety, na co Marja nic nie odpowiedziawszy, zaprosiła go tylko, aby jadał u niéj co dzień rano i wieczór. Po trzech dniach ciągłych zabaw, Randolf uważał sobie za obowiązek przypomnieć list oddany, na co ona rzekła: „Uważam, żeś się już znudził naszém towarzystwem. Chciałam cię tu dlatego, żebyś się przypatrzył mojéj wesołości w stworzoném przezemnie małomieszczańskiém gronie; — jeżeliś się jednak znudził, to jedź razem z swojém poselstwem do Edinburga i czekaj tam królowéj — bo na to ci przysięgam, że jéj tu nie znajdziesz, gdyż sama nawet nie wiem, gdzie ona się podziała. Nie chciałabym też, abyś sądził, że jestem w tém Saint-Andrews, czém jestem w Edinburgu.

Nie długo potém, gdy mówiono o stosunku jéj do Elżbiety, odrzekła na to: „Jeżeli mnie Elżbieta chce uważać jak siostrę młodszą lub córkę, to będę ją czcić jako taką; jeżeli jednak tylko jako sąsiednią królowę, to niechże mnie nie kontroluje.... Dopóki pewność jaka w tym względzie nie nastąpi, muszę słuchać tych, którzy

z największą troskliwością o mojém dobru radzą. Powiedziałam wszystko, — moje usposobienie względem naszéj pani wykazałam jasno (plain), takie też będą moje postępki. Nareszcie powiem, że niema nikogo, któregobym tak chętnie słuchała jak ją w tém wszystkiém, co się zgadza z moim honorem."

„Po kilku jeszcze podobnych rozmowach odezwała się: „Nie byłożby lepiéj, iżbyśmy obiedwie królowe, sąsiadki, krewne, żyły ze sobą jak siostry i przyjaciółki, zamiast jak teraz ciągle szkodzić sobie wzajemnie, ciągle sprzeczać się i kłócić?" Randolf zapytał nagle królowéj: czyby nie była gotową podać rękę do odebrania Calais? — na co królowa odpowiedziała z uśmiechem: „Zanim panu odpowiem, musi się jeszcze poprzednio wiele rzeczy załatwić między mną i moją dobrą siostrą, lecz sądzę, że niedługo już nadejdzie dzień naszéj zgody, bądźcie albowiem pewni, że jeżeli nie nadejdzie, nie będzie to moją winą."

Nareszcie razu pewnego zawołała żywo: „Niechaj świat mówi co chce, niech nas podejrzywają, opasując plotkami — co się mnie tyczy, powtarzam, chcę „być jéj przyjaciółką."

Charakterystyczną tu jeszcze podać musimy scenę z późniejszych wprawdzie czasów, ale najlepiéj uwydatniającą obłudę Elżbiety bawiącéj się z Marją, omal nie jak kot z myszą.

Było-to za poselstwa Melwila do Londynu. Marja uwierzytelniając go przy dworze angielskim, polecała go gorąco Elżbiecie, kończąc temi słowami: „Spodziewam się, pani, zachować twoją łaskę aż dotąd, dopóki się nie przekonasz, żem na nią nie zasłużyła, co jak się spodziewam nigdy nie nastąpi." Elżbieta przyjęła Melwila w cienistym parku Westminsterskim. Chciała mu się tym razem okazać nie w majestacie królowéj, ale w całym blasku dziewicy władającéj sercami otaczających, — przystroiła się więc we wszystkie wdzięki, jakim pomaga sztuka, przepych i kobieca kokieterja. Przeszedłszy się z nim kilka razy po ogrodzie, wstąpiła po marmurowych schodach pałacu do osobnego gabineciku, w którym rozliczne portrety wisiały na ścianach. Melwil poznał między niemi portret Marji. Elżbieta wpatrując się długo w tenże portret, złożyła na nim pocałunek i rzekła: „Kocham twoją panią, i chciałabym ażeby ona tu była na miejscu owego portretu." Melwil skłonił się milcząco.

— Jakże Marja przepędza chwile w godzinach wolnych od zajęć swego państwa? — pytała daléj Elżbieta.

— Dzieli czas swój między naukę, polowanie i muzykę — odrzekł Melwil zmięszany intonacją zapytania.

— Czy gra dobrze na klawikordzie?

— Bardzo dobrze, Najjaśniejsza pani.

Elżbieta zamilkła, lecz nazajutrz kazała jednemu z dworzan wprowadzić go niby niechcący do salonu przyległego temu, w którym zwykle grywała na klawikordzie. Tak się też stało. Królowa zagrała z całą biegłością, na jaką ją stać było, potém chcąc wyjść do ogrodu, podniosła zasłonę i spostrzegła niby przypadkiem Melwila. Z początku udała zagniewaną, potém jednak pozwoliła się ubłagać i wskazała usiąść obok siebie Melwilowi, który rzeczywiście zachwycony muzyką, zgiął przed nią kolano.

— Czy twoja królowa lepiéj gra odemnie? — zapytała.

Melwil nie wahał się przyznać wyższość Elżbiecie.

Drugim razem tańczyła umyślnie przed Melwilem, chcąc wymódz na nim wyznanie, że lepiéj tańczy od Marji. Melwil musiał skłamać. To znowu zapytała go: „Kto jest wyższy, ja czy moja siostra?" Melwil wyznając prawdę, rzekł: „Wyższą jest moja królowa." „To musi być bardzo wysoką," odparła szorstko Elżbieta.

Przy pożegnania wreszcie zapytała go nagle: „Kto ma piękniejszą cerę i włosy, ja czy Marja?" — Melwil zręcznie się wywijając, rzekł, że w Anglii niemasz piękności dającéj się porównać z jéj pięknością, tak jak w Szkocji niema piękności dającéj się porównać z pięknością Marji."

Umyślnie przytoczyliśmy te sceny, aby dać czytelnikowi pojęcie o stosunku wzajemnym tych dwóch kobiet, w stopniu, w jakim się zaraz z początku objawiał.

Widoczną jest tu ze strony królowéj angielskiéj owa z góry powzięta nienawiść, nienawiść podwójne mająca źródło: polityczne i kobiece. Bała się Marji jako pretendentki do tronu jeszcze za jéj życia, i jako katoliczki; — zazdrościła jéj piękności sławnéj na całą Europę, wdzięku czarowania każdego z mężczyzn, który się tylko do niéj zbliżył — zazdrościła jéj tém bardziéj, że szczycąc się ustawicznie mianem „dziewicy," nie mogła się jednak poszczycić czarem zwalczenia serc mężkich samą tylko pięknością.

Ze strony zaś Marji widoczną jest chęć zachowania dobrych stosunków z niebezpieczną sąsiadką, lecz widocznym jest zarazem cały przymus, jaki sobie zadaje w ciągłych oświadczynach szczerości swych uczuć względem niéj; widoczną jest także przewaga jéj jako pięknéj i szczęśliwéj kobiety, pomięszana z obawą ściągnięcia przez to na siebie bazyliszkowego wzroku rywalki, czychającego na nią, jak boa-constonetor na swą ofiarę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

α. δ. **Kronika.** — *Wystawa przemysłowo-rolnicza c. k. Towarzystwa przemysłowo-rolniczego — i nic o niéj.* — *Piwo Słotwińskie konkuruje z tenczyńskiém.* — *Fantowa loterya nie ma welocipedów — ich użytek.* — *Król kurkowy.* — *Djabel.*

Jużto niesłusznie posądzają nas niektórzy o niesolidarność. U nas bo kiedy jeden to wszyscy. I ręczę wam,

że gdyby któremu z głębokich naszych myślicieli albo *in spe* polityków przyszła ochota zwrócić baczną uwagę na niektóre objawy naszego ducha, przekonałby się, że... czasami to prawda, ale potrafimy jako jeden mąż stanąć zgodnie i... solidarnie. Potrzeba tylko inicjatywy... impulsji, którąby na właściwéj drodze potrafiła wyzyskać nasz rozum polityczny, a ręczę wam, że dokonalibyśmy piramidalnych rzeczy.

Chcę tu mówić o sposobie noszenia biletów na wystawie Krakowskiéj. Jeden zatknął za kapelusz, za godzinę miałeś wszystkie głowy zamarkowane. Szkoda tylko, że dzienniki przed otworzeniem wystawy nie zawiadomiły publiczności, iż markowane figury nie należą do najciekawszych okazów. Ja np. który miałem pisać urzędowe sprawozdanie do jednego z pism humorystycznych, przez długi czas przypatrywałem się egzemplarzom ze znaczkami, myśląc w prostocie ducha, że to są wylosowane już istoty, które na czas pewien używają przywileju rozbijania ludzi po chodnikach.

Poszedłszy dopiero do ogrodu angielskiego, patrzę... ażem krzyknął Jezus Marja!... Tu się kręci, tutaj syczy, tutaj gęga, tutaj.... mówi po francuzku. Labirynt panie, jakem żywy nic podobnego nie widziałem. Chodziłem tedy nic nie rozumiejąc, a zafrasowany prosiłem pewnego okazałéj miny pana (zapewne dygnitarza, bo miał gwiazdkę na ręku) aby mi zrobił porządek w mózgu i opowiedział o niektórych rzeczach, co tak imponująco przemawiały do mego rozumu.

— A co pan chcesz wiedzieć?

— Dla czego naprzykład proszę pana tak buczy w téj maszynie — spytałem ciekawy.

— To idź pan szukaj takiego co ma znaczek niebieski — była odpowiedź — zapewne dygnitarza.

Naprowadzony na właściwą drogę puściłem się w pielgrzymkę, polując za niebieską kokardą zawzięcie. Gdy przecież nadludzkie moje wysiłki w tym względzie nie odniosły żadnego skutku, musiałem z własnych domysłów i kombinacji, dochodzić prawdopodobieństwa w przeznaczeniu rozmaitych kółek, kołków i haczyków.

Widząc jednakże, iż własne umiejętności nie na wiele przydać mi się mogą, dałem za wygrane maszynom i żywemu inwentarzowi, który według znawców, najgodniéj reprezentował Galicję, — i już nie jako sprawozdawca ale jako kronikarz zachowałem się do końca.

Z tego punktu zapatrując się na wystawę z całą ciekawością śledziłem pewnego jegomościa, któremu publiczny oddaję szacunek za 17 wypitych szklanek piwa słotwińskiego w przeciągu pół godziny. Jestto także postęp nielada, i gdybym tylko piastował godność prezesa.... wniósłbym o złoty medal dla udekorowania piersi piwosza — jak również byłbym za odznaczeniem choćby listem pochwalnym pewnéj jejmościuni, która próbując, zjadła przynajmniéj ósmą część pieczywa Baruchowskiego.—Niestety! nie mogłem jak tylko życzyć jéj smacznego apetytu.

Odłożywszy jednakże rzeczy mniéj poważne na stronę, przyznać wypada, że wystawa wpłynęła bardzo korzystnie na młodzież naszą, płci brzydkiéj przedewszystkiem. Ręczę że i wonni panicze niezadługo wezmą się do pracy, i jeżeli nie głową to nogami pracować będą nad *welocipedami*, które *entre nous soit dit* bardzo są praktyczne przy wykradaniu panien, a w ucieczkach przed wierzycielami oddają niezrównane usługi. Jestem pewny, że niedługo takie *samochody* znajdą zastosowanie w przyszłych wojnach europejskich, i zobaczymy całe pułki.... uciekające przed nieprzyjacielem — a jeżeli jeszcze Nadar przyjdzie w pomoc ludzkości z ulepszeniem balonów, wtenczas nastaną czasy, o jakich nie śniło się filozofom krakowskim. — Z pawyższych uwag mimochcąc przyszliśmy do wniosku, że loterja fantowa zyskałaby wiele na pokupie biletów, gdyby zamiast kwiatów i wonnych mydełek, Towarzystwo dobroczynności zakupiło choćby jeden *welociped* na wygranę dla filantropów naszych.

Oprócz wystawy, i loterji fantowéj, któréj celem jak zwykle byli biedni i nieszczęśliwi, Kraków przez cały tydzień niepokojony był strzelaniem do kurka. Towarzystwo bowiem strzeleckie odbywało jedną z najważniejszych swoich czynności, t. j. *obiór króla*, którym na rok bieżący został p. *Adolf Poller*. — Piękna-to ani słowa instytucja — szkoda tylko, że nie uorganizowana w sposób więcéj przystępny dla dorosłéj młodzieży, któréj wielce może być potrzebną trafność strzałów, jeżeli dożyjemy jeszcze czasów rycerskich. Zanim to nastąpi, powiem wam pewną nowinkę, rzecz niesłychanie straszną! — Niezadługo bowiem na bruku krakowskim ukaże się „Djabeł" w postaci pisma humorystycznego, którego Redakcja zakupiła kilka centnarów soli attyckiéj i wszystek chociaż nie udekorowany medalem oléj z fabryki pana Baranowskiego, z którego (oleju) ma zamiar zrobić prezent naszéj kochanéj delegacji.

*** Zarząd Towarzystwa ku wspieraniu moralnych interesów ludności polskiéj pod panowaniem pruskiem, postanowił udzielić 30 talarów nagrody autorowi za najlepszą rozprawę historyczną *O unii lubelskiéj* z r. 1569.

Rozprawa ta ma być napisana w sposób i w stylu przystępnym dla ludu, a nie ma obejmować więcéj nad 3 arkusze druku. Winna nadto w końcu zawierać wierszyk krótki, rytmem do jakiéj łatwéj a znanéj melodji narodowéj przystający, zawierający treść rozprawki, a tak ułożony, żeby go się dzieci z łatwością i śpiewać nauczyć mogły.

Termin do nadesłania wyznacza się do 30 czerwca r. b. Nadesłać na ręce przewodniczącego, Teodora Donimirskiego w Buchwaldzie per Altmark. Manuskrypt rozprawki za najlepszą uznanéj przechodzi na całkowitą własność Towarzystwa. Należy go opatrzyć pewnym znakiem i takowy powtórzyć na kopercie, która zapieczętowana podaje nazwisko i adres autora.

Pisma polskie uprasza się o bezzwłoczne powtórzenie tego ogłoszenia.

Przewodniczący w Zarządzie

Donimirski.

*** *Odezwa p. J. I. Kraszewskiego w sprawie wdowy i sierot Syrokomli.* — Pisze mi z Florencji Teofil Lenartowicz. Ponieważ przedstawienie na korzyść sierot po Syrokomli przyniosło tylko kilkanaście złotych, zróbmy my piszący coś dla nich, wydajemy zbiorową książkę. Ja daję wiersz, ty daj powieść, wydrukujesz u siebie... i...

— I, co będzie, to jeden Pan Bóg wié, może z książki też przyjdzie kilkanaście złotych, ale ona poświadczy, że towarzysze a bracia zmarłego chcieli dopełnić obowiązek.

Więc wydajemy zbiorową książkę

D z i e c i o m S y r o k o m l i.

Jałmużnę artykułów nadsyłać prosiemy, zarówno z wszelką inną ofiarą na ten cel, adresując do drukarni J. I. Kraszewskiego w Dreznie.

Dzienniki polskie prosiemy o powtórzenie odezwy naszéj, rachując na ich poparcie.

Drezno, dnia 18 maja 1869.

J. I. Kraszewski.

*** *Moskiewskie rządy na Litwie.* — Pod tym tytułem, znany zaszczytnie autor powieści o *Horożanie* i *Czarnéj Księgi*, skreślił szereg rozlicznych zbrodni, jakich za rządów Murawiewa dopuszczali się na Litwie moskale. Niepodobna czytać nowéj téj serji „Czarnéj księgi“ bez wzruszenia. Każdy fakt, treściwie zestawiony, mógłby służyć za treść do niejednéj demonicznéj powieści Hugona. Gdyby nie znane imię autora, opowiadaniom tym, nieprawdopodobnym prawie, wiaryby dać nie można było. Autor jednak nie miał na myśli przesady, gdyż każda zbrodnia tu opisana, jest sama w sobie tak straszną, tak okropną, że do oświetlenia jéj zbyteczną byłaby wszelka egzaltacja. To też umiarkowanie autora w tym względzie, prostota i jasność stylu są największemi zaletami tego dzieła. — Cena Moskiewskich Rządów — oznaczoną została na 2 złr. 50 c. w. a., a zawiera 25 arkuszy ścisłego druku.

*** *Rusini, powieść przez J. Marjana. Lwów. 1869.* Jakkolwiek znaleźlibyśmy dużo pod względem technicznéj budowy do zarzucenia — toż myśl uczciwa i zacne serce które kieruje dążnością autora w téj powiastce, musi koniecznie zdobyć sobie u czytelnika sympatją dla bohaterów, z których jeden jest Rusinem a drugi Polakiem. Przytém chociaż to widocznie jeden z pierwszych występów pana M a r j a n a na polu literackim, znać w nim jednakże talent i bezstronny sąd, nie uprzedzony żadną namiętnością polityczną. Gdybyśmy wcześniéj i więcéj mieli téj treści powiastek, obeszłoby się może bez niejednéj katastrofy wywołanéj przez usłużnych ajentów moskiewskiego caratu.

Mrówka w Bibliotece swojéj w pierwszéj pół Serji, wydała następujące dzieła:

S. Goszczyński „Król zamczyska.“ — *T. T. Jeż* „Asan“ powieść historyczna. — *Z. Krasiński* „Przedświt“ poemat. — *J. I. Kraszewski* „Ostap Bondarczuk“ powieść. — *W. Mazurkiewicz* „Demokracja polska.“ — *Adam Pług* „Sroczka“ obrazek zaściankowy. — *J. Nowacki* „Kordjan“ dramat. — *Wł. Syrokomla* „Janko Cmentarnik,“ gawęda ludowa. — *J. P. Woronicz* „Sybilla“ poemat. - Jestto najtańsze wydawnictwo, które oprócz szczęśliwego wyboru treści dzieł, odznacza się i staranném wydaniem. Zasługuje więc na zupełne uznanie i poparcie ze strony publiczności.

Katalożek bibliograficzny za miesiąc **czerwiec**, z księgarni Wł. Jaworskiego w Krakowie.

Przyszły sobór powszechny, p. ks. F. D'upanloup. Peplin. 1869.

Miasto Kazimierz i budowle akademickie w tém mieście, p. E. Ekielskiego. Kraków. 1869.

Pisma pomniejsze, p. Dra Wojciecha Urbańskiego. Lwów. 1869.

Rusini, powieść p. J. Marjana. Lwów. 1869.

Powieści i podania ludowe z ust ludu i z książek zebrał i wydał T. Chociszewski. Chełmno. 1869.

Cudowny lekarz, powiastka wielkanocna dla dobrych dzieci i starszych osób. Z pism ks. Schmidta. Chełmno. 1869.

Ambona Ducha Świętego do serca mówiącego, pustynia bogomyślna albo ćwiczenia duchowne, przez ks. Jana Morawskiego S. J. Przedruk trzeci. Poznań. 1869.

Trzy Krzyże czyli rodzina Skibów, przez Julję Goczałkowską. Poznań. 1869.

Wzory kaligraficzne polskie, p. Tarczyńskiego; Nr. 1 do 36.' Kraków. 1869. Nakład W. Jaworskiego.

Korespondencja „K a l i n y.“

P. **A. A.** — Z korespondencji skorzystamy, odkładając ją do czasu św. Andrzeja.

P. **L. S.** — „O miłości“ drukować nie będziemy, ze względu, że poemat pański mało ma zalet platonicznych. — Nie każdy ją pojmuje jednakowo — to prawda. Ale powiedz pan z ręką na sercu, co komu przyjdzie z tego że pański bohater ginie... z przeładowania żołądka.

P. **T. H.** — Kwestji osobistości nie dotykamy nigdy, prosimy więc nie mieć nam za złe, jeżeli odmawiamy miejsca polemice pańskiéj w „Kalinie.“

P. **P. St.** w C i e s z y n i e. — Numera pojedyncze z zeszłego roku wyczerpane, są tylko kompletne roczniki. — Nazwiska pańskiego nie znaleźliśmy na liście prenumeratorów.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W Krakowie. — W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera.